

# BOJOWNICY

## POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Król. Polskiem

Napisał: **ARTUR GRUSZECKI.**

41

Ciąg dalszy.

— *Wasze błagorodje*, tu nie było przestępcy, sam meldowałem panu rotmistrzowi tutaj o poszukiwaniach.

— Nic nie znaczy — zawołał oficer — idźmy do kuchni.

Zamknięta od wewnątrz, z nienaruszonym łóżkiem, nie wzbudziła podejrzenia.

— Służąca nie nocowała?

— Poszła z wieczora... pozwoliłam.

Wzrok obecnych skierował się do przedpokoju.

— Bardzo panią przepraszam za sprawiony niepokój, ale służba... obowiązek.

— Może pan porucznik pozwoli kieliszek wina? przekąski?

— Zbyt wcześnie... dziękuję pani, a swoją drogą zazdroszczę rotmistrzowi. Dzień dobry pani życzyć, czy dobrej nocy?

— Dobrej nocy... jestem senna.

— Dobra noc... miłych snów.

Drzwi zamknęły się z hałasem, Olesia podbiegła do szafy.

— Nie znalazł cię! — śmiała się wesoło — czy źle się sprawiłam? Czy nie byłam odważną?... Pocałuj mnie.

— Podziwiałem cię — uściśkał ją.

— I jak mu powiedziałam: proszę, niech pan rewiduje... nie patrz pan, bo nieporządek... Czy źle? — znów się śmiała uszczęśliwiona. — A wiesz, on nie odrywał oczu odemnie, i ja go kokietowałam umyślnie... Teraz tańczyłabym — określiła się w kółko kilka razy — śpiewałabym... ach, jak to się udało!

— Cicho Olesiu, posłysz... ale jak ja wyjdę?

— Zatrzymam cię u siebie... i gdy się wszystko uspokoi, wypuszczę.

— Pomysł bardzo miły dla mnie, ale niepraktyczny. Służąca... on... natychmiast odkryją.

— To prawda — westchnęła.

Posłyszeli otwieranie drzwi w kuchni i dobijanie się.

— Siedź tu... to służąca, pójde otworzyć.

Gdy wracała, zamknęła drzwi od jadalnego pokoju do kuchni na klucz i weszła do sypialnego.

Zastała Bolka oglądającego w szafie wielki, długi płaszcz rotmistrza.

— Gdybym miał czapkę jeszcze, mógłbym wyjść spokojnie i bezpiecznie.

— Czapka jest także, ale ja cię nie puszcze, złapią cię.

— Ale! sama mnie nie poznasz... Daj czapkę.

Ubrał się, kołnierz postawił w górę, nasunął czapkę, wyprostował się.

— A co? Czy poznają?

— Jaki ty miły! Jaki ty mądry!

— Wyjdę po dziewiątej, gdy urzędnicy idą do biur i przejdę niepoznany przez cały szereg żandarmów.

— O, tak cię nie puszcze bez herbaty. Zaraz będzie samowar.

— I owszem... a wypraw służącą do miasta.

— Dobrze... siadaj na łóżku i sprawiaj się cicho.

Słyszał, jak służąca sprzątała ze stołu, zamiatała, jak wniosła samowar, wysłuchał całej rozmowy, rozporządzeń na obiad, wreszcie Olesia zaprosiła go na herbatę.

Po godzinie dziewiątej wyjął ze schowka papiery Kozaka i Skąły, ukrył przy sobie, a pożegnawszy się serdecznie i podziękowawszy czule za opiekę, zabierał się do odejścia.

— Kiedyż się zobaczymy? — spytała żałośnie Olesia.

— Napiszę ci.

— Nie zapomnisz o mnie?

— Nigdy, Olesiu.

— A odeślij mi płaszcz i czapkę.

— Naturalnie, dziś jeszcze.

Na pierwszym piętrze spotkał stróża zamiatającego schody, który widząc poważnego urzędnika, skłonił się pokornie.

Dobry znak, nawet ten mnie nie poznał, ale wspomniawszy rozkaz rotmistrza aresztowania, każdego zgłaszającego się do niego, wrócił się i zawołał z cicha na stróża:

— Michale! Michale!

— A słowo stało się... w imię Ojca i Syna...

— Cicho!... Przypilnujcie dobrze, ażeby ktoś nie pytał o mnie.

— Wiem... chwała ci Panie — zaśmiał się — i nie dostali was...

— Oficer poszedł?

— Przetrzęsa dom, teraz w oficynie szuka... szczęśliwej drogi.

— Do widzenia... a pilnujcie!

Żandarm w bramie salutował przed nim, i Żalecki równym, spokojnym krokiem skręcił w boczna ulicę, skinął na dorożkę i kazał się wieźć do fabryki, w której Komar pracował.

Już dojeżdżał, gdy spostrzegł Olę idącą w tym samym kierunku. Zatrzymał dorożkę i wysiadłszy, szedł naprzeciw niej.

Podniosła oczy, zarumieniła się i zawołała uradowana:

— Bolku!

— Nie ponimaju! Wy moja znakoma!? — zaśmiał się, całując wyciągnięte ręce.

— Otrzymałam jeszcze w sobotę nagłą kartkę od Komara... idę do niego.

— To bardzo dobrze się składa, bo i ja mam interes do niego... Wiecie, nas dwoje za wiele w jego biurze. Wejdźmy do cukierni i wezwiecie go posłańcem.

— Ja?!

— Wy mniej go narażacie... szukają mnie, może ktoś podpatrzeć — szli ku cukierni.

— Szukają was? Czy domyślają się Pasty?

— Zapewne i to... Jakże wasze zdrowie?

— Czuję się zdrową, tylko jestem osłabiona.

Weszli do cukierni, Olga napisała kilka słów do Komara i posłańcem odesłała.

Opowiadał jej szczegółowo o manifestacji, o usiłowaniu aresztowania go, co bardzo zaniepokoiło Olę, gdyż tylu innych nie czepiała się policya, a jego chciano pochwycić, jak gdyby upatrzonego.

W czasie tej rozmowy przyszedł Komar, a zobaczywszy Bolka, patrzył, nie wierząc własnym oczom.

— I wy tutaj? Jakim sposobem? Zwaryowaliście chodzić tak po Warszawie? Uciekliście im?

— Jeśli tu jestem — uśmiechnął się — nie jestem u nich, to jasne.

Komar usiadł i patrzył z podziwem na Bolka.

— Doniesiono nam, że was schwyceno w domu...

Kozak i Skąły już w drodze, nie wierzyli, aby wam się udało przejść po gziemiu... a jednak moja rada dobra była, uciekliście.

Olga patrzyła na obu, zrozumiała, że jakieś wielkie niebezpieczeństwo minęło, i spytała:

— Co było? Gdzie? Jak?

— Wróciłem wczoraj po dziesiątej do domu, stróżka dała mi znać o żandarmach idących po mnie. Na gziemiu nie mogłem się zdecydować, spuściłem się z balkonu na sznurze, zabrawszy papiery... i na drugim piętrze znalazłem opiekę. To Bolcew mnie ściga, słyszałem, jak odgrażał się... no, i znaleziono też u mnie pewno dosyć niedozwolonych rzeczy i pism.

— Bolcew?... To z mojej winy, mści się za wiadomość o tej dziewczynie.

— E, wszystko jedno — wtrącił Komar — i tak wisielibyście, Bolku, za drukarnię. Zupełnie nie rozumiem waszej beczelności... wczoraj byliście na manifestacji bez przebrania...

— Chciano go aresztować — dorzuciła Olga.

— Więc widzicie, śledzą was... może nawet domyślają się Pasty... Dziś cudem uniknęliście śmierci, i siedzicie sobie tu najspokojniej, w dodatku z towarzyszką.

— Spotkaliśmy się — bąknęła Olga zarumieniona.

— A to mnie nic nie obchodzi — rzekł podrażniony — jeszcze raz radzę i proszę, wyjedźcie na jakiś czas... zmieńcie się do niepoznania. Właśnie pisałem do towarzyszki kartkę, aby wam nakłoniła do wyjazdu. Czyż nie rozumiecie, że chodzicie w stryczku?! A partyi zależy na was. My nie pozwalamy na bezpotrzebną śmierć, dziś wyjedźcie i koniec.

— Bolku... proszę was — zaczęła Olga — dziś jedźcie... pomogę wam... wszystko zrobię, tylko wyjedźcie.

— Jeśli już tak nalegacie, to dobrze... i tak na razie nie mogę organizować, bo pochwycają mnie... przyjadę wkrótce.

— Nareszcie! — uśmiechnął się zadowolony Komar — otóż w Sosnowicach zajdziecie do naszego towarzysza, znieście go przecież...

— Wiem... on mnie przeprawi i to wiem... a mogę wam tu oddać papiery?

— Tu?... Zaczekajcie chwilę, uwolnię się z biura, aby schować bezpiecznie te papiery.

Gdy wyszedł, Olga patrząc mu w oczy, spytała:

— Bolku, pojedziesz dzisiaj?

— Dzisiaj? Nie wiem czy zdążę... może nocnym pociągiem.

— Ale napewno?

— Wyjadę, kiedy tak napieracie oboje, chociaż mojem zdaniem najpewniejszy jestem w Warszawie. Przemienię sobie kolor włosów, ubranie, dostanę paszport tutejszy... i będę pracował... będę widział cię, jeśli nie codziennie, to często. Jaki jednak ten Walczak szczęśliwy! — westchnął — mieszkają razem z Heleną i mogą się kochać, całować, ściskać...

— Czy chciałbyś, abym była w położeniu Heleny? — uśmiechnęła się.

— Co to, to nie... chociaż w ten sposób zmusilibyśmy ojca do pozwolenia.

— Wyrzekłby się mnie... znam go... zresztą mówiliśmy już o tem z sobą... Może uległabym twoim prośbom, ale byłabym nieszczęśliwą.

— Daruj mi, głupstwa gadam, ale jestem dziś taki rozdrażniony...

Wszedł Komar z uśmiechem:

— Jestem wolny... możemy iść.

Bolek podszedł do wieszadeł w głębi i narzucił płaszcz na siebie, wziął czapkę w rękę.

— Ach! W ten sposób!? — zaśmiał się Komar — i „russki“ cię uratował?

— Nie... to Polka.

Olga spojrzała wymownie na niego i szepnęła:

— Ona?

— Tak jest.

— Jedź w tem przebraniu, nikt cię nie pozna... doskonały pomysł.

— Płaszcz i czapkę muszę dziś odesłać... przyrzekłem.

— Więc kup sobie... Towarzyszko, dopilnujcie tego i jego wyjazdu, bo przecież i wam zależy na nim.

— I bardzo nawet — uśmiechnęła się.

Gdy szli sami ulicą, mówiła Olga:

— Dziś o dziewiątej wieczorem wyjedziesz. Bolku. Dobrze, mój jedyny?

— Niech i tak będzie... dam ci adres, pisuj często i dużo.

— Będę ci donosiła o wszystkim. Idź teraz do Heleny, przysyłaj do niej płaszcz, czapkę i potrzebne rzeczy.

— Nie kupuj... to wzbudzi podejrzenie... sam zajdę do sklepu.

— I znów się narazisz... to chyba pójde z tobą jako żona — uśmiechnęła się.

— Siadajmy w dorożkę... mniej mnie widać, aniżeli pieszo.

Gdy załatwili pomyślnie sprawę ubrania, rzuciła Olga:

— Idź, a raczej jedź wprost do Heleny, czekaj na mnie... ani kroku nie zrobisz z mieszkania, póki nie przyjdę, czy mi przyrzekasz?

— Mogę, bo jestem senny, oka nie zmrzyłem.

— Bolku... tylko mów prawdę — zarumieniła się — czy ta... czy ona piękna? ponętna?

— Dosyć ładna... ale rola Józefa u Putyfary więcej kosztowała go zapewne, aniżeli mnie.

— Czy napewno?

— Jak ciebie kocham.

— Wierzę ci... Ona z miłości dla ciebie musiała Cię uratować... biedna dziewczyna — westchnęła.

— Nie tylko z miłości to zrobiła, ale i z nienawiści do Bolcewa.

— Tem więcej godna współczucia.

— Do widzenia, mój drogi

Wieczorem, po ósmej przyszła Olga z torbą podróżną w rękę.

— Czy i ty jedziesz? — zaśmiała się Helena.

— Może... a właściwie jadę.

— Wy Olgo?! — zawołał Bolek zdziwiony — Ależ wam nie wolno, dopiero po chorobie.

— Lekarz mi pozwolił.

— A ciotka?

— Poszła z mężem na premierę do teatru, i również pozwoliła, gdyż mam się spotkać ze stryjkiem w bardzo ważnej sprawie.

— Wy? Gdzie? W jakiej sprawie?

— W Sosnowicach, jutro w południe, a co do sprawy, nie ma szczegółów w depeszy.

— I to prawda? — wątpił Bolek.

— Jade, czy wam tak źle ze mną?

— Aha, rozumiem — zawołał Bolek ze śmiechem — sami napisaliście depeszę. Wstydzicie się tak oszukiwać...

— Wy przywłaszczacie sobie mundur i czapkę, a nie robicie wam zarzutów — zaśmiała się.